

Rafał A. Ziemkiewicz
Ostatnie słowo

— Przepraszam, czy pan jest sławny?

Miałem na końcu języka jakąś złośliwą odpowiedź, ale odpuściłem — głos, którym zadano to pytanie, aż drżał od pełnego nadziei oczekiwania, a twarz dziewczynki przede mną była zbyt napięta, żebym miał sumienie dodatkowo ją ranić. Sam w sobie stanowiłem już dla biedaczki wystarczająco bolesne rozczarowanie: czaiła się tu, w wąskim przejściu pod pełnym gwiazd hotelem, od Bóg wie jak dawna, cud, że udało się jej przecisnąć pomiędzy tyłu ochroniarzami, a kiedy ktoś się wreszcie trafił, to tylko obsługujący imprezę dziennikarz. Żeby przynajmniej czyjś stylistka albo narzeczona. Jednej koleżance wczoraj udało się zdobyć autograf dwóch piosenkarek i prezentera pogody z telewizji, druga była przez chwilę na wyciągnięcie ręki od samej pani Marii z „W zdrowiu i chorobie”, a u niej nic, zupełny obciach. I jak teraz tak — być na Festiwalu Gwiazd w Międzyzdrojach i wrócić do domu z zupełnie pustymi rękami?

Aż mi się zrobiło przykro, kiedy to sobie wyobraziłem. Ale co robić; na pytanie, czy aby nie jestem zupełnie nikim i na mój podpis nie szkoda przypadkiem kartki w ścisłanym kurczowo notesiku, musiałem odpowiedzieć twierdząco, bo tak właśnie się sprawy miały.

— Wiesz co? — przypomniał mi się w porę strzęp zasłyszanej wcześniej rozmowy ochroniarzy. — Za dziesięć minut pod furtkę przy kortach ma podjechać samochód po doktora Marka ze „Srebrnopolskich”. Tylko nie mów nikomu więcej...

Pognała, aż się za nią zaświeciło, oczywiście bez słowa podziękowania. Nie miałem pretensji — kto by w obliczu takiej szansy znalazł na to czas.

Rozejrzałem się, czy w uliczce nie ma przypadkiem więcej zaczajonych łowców autografów, i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że przez cały czas poza hotelem paradowałem z rzucającym się w oczy, zatopionym w plastiku identyfikatorem na odblaskowo zielonym sznurku. Zezłościło mnie własne roztargnienie. Oczywiście w samej strefie hotelowej noszenie ID na szyi było wygodniejsze od ciągłego sięgania do kieszeni, a bodaj nawet wymagane regulaminem imprezy, ale wychodząc na hamburgera, powinienem był pamiętać, żeby paskudztwo schować. Wyglądało, jakbym chciał szpanować — patrzcie, oto ja, jeden z wybrańców, który ma wstęp tam. Tylko brakowało, żeby mnie przyuważył ktoś znajomy. Wystarczającym obciachem było, że w ogóle przyjechałem do Międzyzdrojów z akredytacją i wejściówką na bankiet, o które w końcu łatwo nie było i jeśli ktoś miał, to musiał się o nie starać.

Cóż, szczerze wolałbym naściemniać, że trafiłem tam jakimś przypadkiem i dziesięć razy na godzinę rozglądałem się dokoła wzrokiem zdumionego dziecka, pytając siebie samego, co ja robię na tym targowisku próżności. Ale nie. Pojechałem na tę imprezę specjalnie i rzeczywiście, musiałem się trochę postarać, zwłaszcza o wejściówkę na bankiet. Po co? Odpowiedź zależy od tego, czy pytacie oficjalnie, czy tak naprawdę. Oficjalnie? No więc oficjalnie byłem tam, żeby napisać dla magazynu „Wiwat!” artykuł pozwalający jego czytelnikom posmakować wielkiego świata i podpatrzeć, jak spędzają wolny czas ich ulubione gwiazdy.

I co, Aleksandrowicz — spytacie — żeby napisać taką chałturę musiałeś naprawdę być na miejscu? Wtedy zmuszony będę odpowiedzieć: oczywiście, że nie. Listę obecnych mogłem ściągnąć netem z biura prasowego imprezy, albo nawet ograniczyć się do przejrzenia zdjęć, a na podobnym bankiecie nie mogło się zdarzyć nic, czego nie mógłbym wymyślić sam. A nawet gdyby, dodaliby pominięty szczegół podczas redakcji tekstu. Pisanie do kolorowej prasy było kwestią formy, a nie treści. I w ogóle było proste jak w pysk dał, jeśli tylko znało się podstawową zasadę — do jej odkrycia zaś wystarczyło pobieżne przekartkowanie paru

tytułów. Nie zdradzę żadnego sekretu, mówiąc, że wszystko opierało się na umiejętności wyciśnięcia z ograniczonej ramkami liczby słów maksymalnej dawki egzaltacji.

Ruszyłem przez szeroki podjazd, w tej chwili opustoszały, bo większość ważnych gości już przyjechała na imprezę, a było za wcześnie, żeby ktokolwiek wyjeżdżał. Nie przed przybyciem tych najważniejszych w każdym razie. Gęściej było przy samym wejściu do „Jantara”, kręciło się tam paręnaście osób, głównie zwalistych osiłków, sprawiających wrażenie, jakby na tę okoliczność po raz pierwszy w życiu przebrani zostali w garnitury. Ochroniarze zobaczyli mój identyfikator z daleka, jeden z nich odsunął się, żebym mógł przejść, ale nawet na mnie nie spojrzął. Gdybym przynajmniej był tu z kamerą i całą ekipą — ale jakiś pojedynczy gryziopiórek... Ja zresztą też nie miałem ochoty na niego spoglądać. Znalazłem się w rozległym holu, urządzonym w najgorszym możliwym guście i równie jak podjazd w tej chwili opustoszałym — wszystkie zamieszkujące hotel sławy dawno już podążyły do hotelowych ogrodów. Udałem się za nimi, rzecz jasna. Gdzieś indziej mógłbym niby pójść, skoro robiłem tu za papa — raca z kolorowej prasy?

Właśnie, prasa kolorowa, zacząłem i w natłoku myśli zapomniałem dokończyć, jakoś coraz częściej mi się to ostatnio zdarza. No więc główny problem polega na tym, że nawet w tej dziedzinie przebija się ta jakaś nasza polska, wrodzona dupowatość. W innych krajach kolorowy biznes wypcha się w życie sław brutalnie i bezwzględnie, grzebie im w koszach z brudną bielizną, podgląda na randkach i liczy zużyte prezerwatywy. U nas może być głupio, bez gustu i niesmacznie, ale musi być sielankowo; wszyscy mają się lubić, uśmiechać do obiektywu i broń Boże żadnych kwasów czy zadrażnień. Wydawca „Wiwatu”, gdy pytałem, tłumaczył wszystko polskim prawem — na Zachodzie po prostu trzaska się zdjęcia z ukrycia, a u nas za publikację niezaakceptowanej przez gwiazdę fotki można zmoczyć w sądzie na niezłą kasę. To też prawda, ale moim zdaniem naszym po prostu się nie chce. Łatwiej, niż polować na sensacje, jest żyć z gwiazdami w przyjaźni, wtedy same przychodzą z materiałem do publikacji. Przychodzą to nieodpowiednie słowo; pchają się drzwiami i oknami. Jeśli której piosenkarce albo aktorce umrze mamusia, sama wprasza się na łzawą sesję przy nagrobku i wywiad o swym strasznym bólu, z opisem fizjologicznych szczegółów zgonu włącznie. Jeśli dupek, z którym się w bezdennej głupocie związała, obije jej gębę, ukradnie pieniądze i ucieknie z basistą przejezdnej kapeli, chętnie opowie, jak tarza się z tęsknoty za nim po podłodze łazienki, gryząc w rozpachy ręce. I tak dalej — ciąża, gwałt, alkoholizm partnera/partnerki i własny, odwyk, kłopoty z dziećmi, rak sutka, rzesistkowica, eiaculatio praecox, cokolwiek, proszę bardzo, byle tylko było zdjęcie na okładce.

Ale publice, choć pewnie sobie z tego nie zdaje sprawy, czegoś w tym wszystkim brakuje. Wiecie czego? Autentycznego podglądactwa. Które, oczywiście, wszyscy się zgodzą, jest ohydne, ale podnieca. A włożenie z butami w prywatność kogoś, kto sam swoją prywatność rozgłasza wszem i wobec, jakoś podniecić nie jest w stanie. Jest równie czcze, jakby nakopać masochiście albo słuchać zachwyków nad sobą od dziwki, której się za to wcześniej zapłaciło.

I tu właśnie okazało się, że, jak ująłby to pewnie wielki poeta, gdyby dożył, stylistyka może być pomocna życiu. Najgorszy banał zabrzmie świeżo, jeśli umiesz dobrać słowa. Właśnie dlatego w kolorowej prasie żadna gwiazda, zauważcie, nie może niczego po prostu powiedzieć — gwiazda musi to czytelnikom wyznać, ujawnić, a najlepiej zdradzić. Choćby zdradzała fakt równie intrygujący jak to, czym się delektuje albo raczy (broń Boże, nie po prostu, co je) na śniadanie. Nic normalnie: nie że kiedyś na przykład wynajmowała mieszkanie na spółkę z koleżanką, tylko że „do dziś przepełnia ją nostalgia za szczęśliwymi chwilami, które spędziła w dzielonym z przyjaciółką mieszkanku”. I tak dalej, jarzycie, jak sądzę. Żeby takie kawałki produkować taśmowo, nie trzeba specjalnego talentu, wystarczy mieć nieco większy od przeciętnego gościa z ulicy zasób słów, zwrotów i leksykalizmów.

Z tego właśnie ostatnio żyłem. Bo pracownicy koncernów, które zdominowały rynek kolorowej prasy, byli systematycznie pozbawiani tej umiejętności przez całe lata. Zgodnie z

doświadczeniami swojej strefy językowej ich szefowie egzekwowali surowo ograniczenie języka gazety do tysiąca słów. Na każdą rzecz istnieje tylko jedno określenie i niczego nie wolno komplikować. Redakcyjne komputery były tak zaprogramowane, że jeśli ktoś użył synonimu, po prostu go nie przyjmowały, zastępując automatycznie słowem podstawowym. Dopóki szło o wypełnianie wolnych miejsc w przysyłanych z Niemiec gotowych lejaltach, gdzie cała robota ograniczała się do przerabiania Ulrike z Hamburga na Grażynę z Łodzi, może się to i sprawdzało. Ale pisanie w taki sposób o życiu wyższych sfer było do bani i w końcu do Szwabów dotarło, że w tej kwestii muszą postawić na ałtsorsing. Kumpel, który swego czasu poszedł za kasą z „Gazety Narodowej” do jednego z takich koncernów zadzwonił do mnie pewnego pięknego poranka i znając moje zamiłowania, skusił na duży biograficzny artykuł o Svanie Swarowskim.

Prawdopodobnie był to najlepszy artykuł, jaki o nim kiedykolwiek napisano, a na pewno jeden z lepszych tekstów, jakie w życiu wyszły spod moich palców. Nie poszedł do druku, bo akurat wtedy właśnie Svan obraził się na cały świat ostatecznie i z wzajemnością, ale zapłacili bardzo dobrze. I tak zaczęła się długa, cicha współpraca. Wiem, że wśród słów, które wam w tej chwili przychodzą do głowy, „chałturnik” jest najmniej dla mnie przykre, ale u nas dziennikarz ma taki akurat wybór, że albo chałturzy, albo się sprzeda. Dzięki temu, co zarabiałem na kolorowych plotkach, stać mnie było na zbieranie przez dwa, trzy tygodnie danych do poważnych artykułów o tym, jak Polska się stacza w przepaść, wydaje trzy razy więcej na konsumpcję i trzy razy mniej na inwestycje niż jakikolwiek kraj o zbliżonym dochodzie narodowym, trwoni połowę budżetu na zasiłki, a tnie z roku na rok wydatki na edukację i pożyczając kasę na rozkurz, zadłuża się szybciej niż za Gierka. Nie z naiwności, że niby moja pisanina cokolwiek zmieni — wiem przecież, że po gazety skłonne takie nudy drukować i tak sięgają tylko ci, którzy i beze mnie wiedzą doskonale, że ten burdel musi się wkrótce zawalić. Ale zawsze miło napisać o tym w solidnie uargumentowanym tekście, choćby tylko dla spokoju własnego sumienia.

Ogrody wokół hotelu „Jantar” zagrodzono na dzisiejszą okazję, jakby to była amerykańska baza wojskowa na Kubie. Jedyne przejście wiodło przez hotelowy hol. Godzinę temu było w tym holu tak gęsto, że prze — dreptanie od jednych drzwi do drugich zajmowało ponad pół godziny. Właśnie dlatego wołałem odczekać, a przy okazji skoczyć na miasto zapchać się hamburgerami; nie mogłem sobie pozwolić, żeby w tej właśnie chwili, dla której tu przyjechałem, tkwić akurat w ścisku przy karmniku, mając w jednej ręce talerzyk, w drugiej kieliszek, a trzecią ćkając do gęby sałatkę krabową.

Teraz rozgadany tłum, przedarłszy się już przez hol i werandę, oblegał ozdobione sponsorskimi bannerami — mi namioty z wyżerką. Nie zainteresowałem się nimi bliżej z przyczyny wyjaśnionej przed momentem, ale, jak znam życie, ciężko byłoby tam znaleźć jakieś banalne koreczki z żółtego sera z oliwką czy pieczony schab w galarecie. Na wprost od wejścia rosły gość w fantazyjnym białym fartuchu obdzielający ciskających się ludzi jakimiś ptakami z różną, nieco dalej kucharze kroili upieczone w całości prosiaki, a wśród najgęstszego tłumu personel poprzebierany za Kozaków wydzielał skąpe porcje kawioru i kieliszki z mocno zmrożoną wódką. Ścisk do tej wódki i kawioru był nieludzki, ale tylko nieznacznie większy niż gdziekolwiek indziej. Możecie mi wierzyć, bo mówię to na podstawie długotrwałych obserwacji uczestniczących, że im bardziej elegancki bankiet i im bogatsze na nim towarzystwo, tym gorsza ciżba przy bufecie. Rzeczą warta zastanowienia: w końcu robią tę parskaninę i mlaskaninę ludzie, których naprawdę stać na porządne jedzenie. Widocznie hasło „dają zjeść za darmo” uruchamia w naszych elitach atawizmy. Nie chodzi zresztą, tak myślę, o zapchanie żołądka, ani tym bardziej o doznania smakowe, tylko o darmość: załapanie się na coś za friko, choćby to była tylko kiełbasa z wody, musi dawać satysfakcję podobną do sukcesu w sporcie. Sam widziałem na jednej promocji prezesa sporego banku, jak zakradał się przez krzaki na koniec kolejki, żeby wyłudzić jeszcze jedną

pożegnalną reklamówkę z firmowym tiszertem, długopisem i kalendarzem na biurko, na dodatek obrzydliwym i niepraktycznym.

Dziewczynka, która przed chwilą molestowała mnie o autograf, najpewniej ukreśliłaby tu sobie głowę, nie wiedząc, za którą ze sław obejrzeć się najpierw. Co do mnie, to najchętniej — zboczenie zawodowe — łowiłem w tłumie twarze biznesmenów. Bo taka była idea tej węzłowej dla naszego życia kulturalnego imprezy: umożliwić spotkanie artystów i biznesmenów, żeby sobie jedni mogli poszukać sponsorów, a drudzy luksusowych maskotek. I jak raz, ledwie udało mi się znaleźć kelnera i porwać mu z tacy szklaneczkę, w której pesymistycznie spodziewałem się soku jabłkowego, a znalazłem łyskacza — wpadłem na mojego zombi.

Swego czasu był to pierwszy zombi, o jakim napisano w polskiej prasie, i to właśnie ja byłem autorem tego tekstu. Poznał mnie, na chwilę oderwał dłoń od jędrnego poślodka hostessy przebranej w coś wzorowanego na mundurze kirasjera gwardii i zamachał z przyjaznym uśmiechem, jakby chciał w ten sposób powiedzieć: „A ja cię, chłopcze, i tak lubię”. Właściwie dlaczegoż by miał nie lubić? Zaszкодzić mu przecież nie zaszкодziłem, a tylko przysporzyłem w środowiskach biznesowych mołojckiej sławy. Teraz weszło w rutynę, że jak czyichś przekrętów nijak już prokuratura nie może zatuszować ani umorzyć, jedzie gość do RPA albo Meksyku, przysyła stamtąd poświadczony jak należy akt zgonu, a pół roku potem wraca z paszportem na zupełnie inne nazwisko. Od dawna nikomu nie chce się takich zombi liczyć, ale ten mój był prekursorem i artykuł dla „Gazety Narodowej” miał nawet pewien oddźwięk — jeden z wiodących dzienników pofatygował się osobiście zapytać, co też on na to. Odpowiedział, oczywiście, że to brudna polityczna gra, tak brudna, aż nie będzie się poniżał do przedstawiania świadków, że w Dominikanie się urodził i jest jej obywatelem od zawsze. A w ogóle to, gdyby polskie prawo przewidywało ustalanie tożsamości na podstawie DNA, gotów by się temu poddać.

Odpowiedziałem na przyjazny gest zombi uśmiechem; w końcu stary znajomy. Zresztą w tym towarzystwie był małym, prawie uczciwym kmiotkiem. Mały się tu wydawał nawet ten facet, którego przebrani za Kozaków kelnerzy rozdawali wódkę i kawior — Rosjanin z obywatelstwem Belize, któremu wszystkie kolejne rządy powierzały wyłączność na pośrednictwo w sprzedaży wyrobów rodzimej zbrojeniówki. Prawdziwi giganci, ci od energetyki, ropy, gazu i wielkich prywatyzacji, mający w pejrołu po kilkunastu byłych i przyszłych ministrów, najpewniej zamierzali się zjawić dopiero wraz z orszakiem Pierwszej Damy, czyli — zerknąłem na zegarek — za jakąś godzinę.

Mniejsza o Pierwszą Damę. Nie po to się wcisnąłem na imprezę, żeby zachwycać się wraz z całym narodem jej wymuszonym wdziękiem albo sumami, jakie biznesmeni rzucą łaskawie na chore dzieci. I wbrew pozorom — choć wiem, że pewnie odnieśliście takie wrażenie — także nie po to, aby się zżymać i przeżywać boleśnie fakt, że inni są sławni i mają szmalu jak lodu, a ja nie.

No więc po co? Jeśli tym razem pytacie nie oficjalnie, tylko tak naprawdę, to odpowiem, że postanowiłem zrobić coś, żeby wreszcie popchnąć do przodu moją karierę. Nie dziennikarską. Karierę literacką. Nie wierzycie, co? Wydawałoby się, że Festiwal Gwiazd był ostatnim miejscem, gdzie można rozmawiać o literaturze. Pewnie tak. Ale był też jedynym miejscem, gdzie ktoś taki jak ja miał szansę zamienić parę słów z kimś takim jak Waldi. A i to wymagało odpowiednich przygotowań... Zresztą o przygotowaniach i o Waldim za moment, bo skoro doszliśmy do literatury, to najpierw muszę koniecznie opowiedzieć o tej dziewczynie, z którą przypadkiem zgadało się o Svanie.

Właściwie nie mogę sobie przypomnieć, jak to się stało, że znaleźliśmy się w pobliżu i zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Coś przyciągnęło nas do siebie, może po prostu sam fakt, że byliśmy jedynymi ludźmi w tłumie, którzy na przekór praw rządzących jego ruchem przechadzali się samotnie. Cały sens bycia na bankiecie, skoro już się zdobyło zaproszenie, w

tym, żeby pokazać się jak największej liczbie znajomych i poznać jak najwięcej nieznanym; ludzie ze szklaneczkami stale zbijają się więc w rozpaplane grupki, pomiędzy którymi niczym iskry albo wybijane z orbit elektrony przeskakują co chwila pojedyncze osoby lub pary. Gdyby nie stanowiło to problemu technicznego, najlepiej byłoby oglądać takie imprezy z lotu ptaka; nie miałem nigdy okazji, ale potrafię to sobie plastycznie wyobrazić.

Więc przede wszystkim ruchliwość każdej osoby zależy od jej rangi i towarzyskiej pozycji. Te, które przeskakują od jednej grupki do drugiej, liczą się najmniej. Goście o większym ciężarze właściwym pełnią rolę jąder, wokół których krzepną jak grudki koagulującego roztworu grupki rozmówców. Jedne z nich poruszają się potem wolniej, inne szybciej, z różną siłą zasysając najedzone już jednostki z magmy wokół stołów. Pomniejsze zderzają się ze sobą, łączą i znowu pękają, wymieniając częścią materiału, zmieniają kierunki ruchu, przyciągając się nawzajem bądź odpychając. Najbardziej nieruchawe są te skupione wokół osób naprawdę ważnych; osoby takie można poznać również po tym, że przez cały bankiet robią praktycznie tylko jedno kółko, bardzo dostojnie i powoli, zawsze w prawą stronę od wejścia — a potem znikają definitywnie. Dajcie mi odpowiedni punkt obserwacji na bankiecie stowarzyszenia księgowych w Malezji i po piętnastu minutach uszereguję wam gości w kolejności od najważniejszego.

Podejrzewam, że dwoje ludzi wyłamujących się z ogólnych zasad bankietowego ruchu musiało zostać przywołanych do porządku przez samą rządzącą zbiegowiskiem homeostazę. Ale dopuszczam też inną możliwość. Może po prostu dziewczyna spojrzała na mnie wzrokiem sygnalizującym, że nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli podejść i zagadać? Nie pamiętam. Nie pamiętam też, o czym zagadałem. Pamiętam, wyszło z rozmowy, że jest aktorką i bywanie w takich miejscach zalicza się do jej obowiązków zawodowych — nie żeby dyszała dziką żądzą zrobienia kariery, ale by móc liczyć na jakiś sensowny angaż, trzeba bywać. No a potem, oczywiście, zapytała z uprzejmości, czym się zajmuję ja.

— Obserwuję kosmitów — przyszło mi do głowy. — Chyba już pani zauważyła, że większość z tych ludzi tutaj to przybysze z jakiejś innej planety? Właśnie próbuję ustalić z jakiej.

— A tak, pan pisze science fiction... Chyba coś słyszałam.

— Pisuję. Tak dla zarobku to jestem dziennikarzem, ale moja prawdziwa pasja to tropienie agentów obcych cywilizacji. O, niech pani spojrzysz choćby tu — skinąłem podbródkiem w stronę niewiasty lansowanej na pierwszą heroinę rodzimej kinematografii. — Czy nie mogłaby zagrać E.T. bez charakteryzacji?

Nie znam lepszego sposobu, żeby spodobać się kobiecie, niż wypowiadać się przy niej złośliwie o niedostatkach urody i stroju innych kobiet, zwłaszcza sławnych i robiących karierę. Ale nawet najlepsze sposoby nie zawsze działają.

— Może tak — odparła moja rozmówczyni z niezmaconą pogodą. — Tym bardziej trzeba podziwiać, że zdołała zostać gwiazdą.

— Żartuje pani? Została gwiazdą dlatego, że od pewnego czasu angażuje ją do każdej swojej superprodukcji nasz wielki i zasłużony reżyser. Od tego czasu, dokładnie, kiedy na imprezie u jego córki jednemu gościowi nieszczęśliwie wbił się nóż w wątrobę. Tak nieszczęśliwie, że pogotowie i policja mogły zobaczyć trupa dopiero po paru godzinach, kiedy już pani domu wszystko posprzątała i powycierała wszystkie kłamki. A tatuś naszej gwiazdy miał akurat wtedy taką pozycję, że mógł sprawić ukręcić łeb, i był łaskaw tę uprzejmość sławnemu reżyserowi wyświadczyć.

Popatrzyła gdzieś ponad bankietową cizbę, w poświatę przysłaniającą rozgwieżdżone niebo.

— Niech pan to napisze, zamiast gadać na bankietach — powiedziała z nieoczekiwanym chłodem. — Skoro pan tyle wie, niech pan pisze. Z prawdziwymi nazwiskami, nie chowając się za pseudonimami albo frazesem, że wszelkie podobieństwa są przypadkowe.

Przez chwilę obawiałem się, że się obrazi i sobie pójdzie. Właściwie przez chwilę sam miałem ochotę się obrazić i sobie pójść. Jednym zdaniem przekreśliła na opak moją prywatną, hołubioną wizję świata; tak jakbym wcale nie stał z boku, oglądając rzeczywistość okiem zoologa, tylko był jeszcze jednym facetem umocznym w niej po uszy.

— Po co? — zapytałem zirytowany takim przedstawieniem ról. — Czytelnicy pokiwiają głowami, potem wyłożą moim artykułem kosz na śmieci i do następnego numeru zapomną, co ich zbulwersowało w poprzednim. Zyskam na tym parę groszy wierszówki i kupę wpływowych wrogów. Zresztą, wie pani... W gruncie rzeczy pisać można tylko o tym, co ludzie już wiedzą...

— ...bo jeśli czegoś sami nie doświadczyli, i tak nigdy nie zrozumieją — dokończyła. — Dla kogoś, kto nigdy nie kochał, historia Tristana i Izoldy to nuda i głupota i tak dalej. Wiem, czytałam Swarowskiego. Ale on myślał o poezji, a nie o dziennikarstwie.

— O, dziennikarstwo to też poezja — zacząłem. — W obu wypadkach chodzi o dobór odpowiednich słów. Wie pani...

— Nie — przerwała mi. — Svan to zdecydowanie oddzielał. Nawet przesadnie. Wszystko poza wierszami nazywał chałturą... Chyba wpadł w kompleks z powodu swojej popularności i w ten sposób się z niego leczył. W każdym razie bardzo by się obraził, gdyby wyskoczył pan przy nim z czymś takim. W ogóle łatwo się obrażał.

— Pani go znała osobiście? Naprawdę?

— A pan nie?

— Nie. Bardzo chciałem, pisałem o nim, no i w ogóle... Jak to się banalnie mówi, uważałem go za swojego idola. Właściwie nadal uważam. Wiem, że się wycofał i zaszył w jakiejś dziurze, ale to straszna szkoda. Skąd go pani zna?

— Pracowałam krótko dla telewizji w czasie, kiedy był tam gwiazdą. Parę razy raczył się zniżyć do rozmowy z początkującą presenterką. Żadna tam wielka znajomość.

— I jaki był? Niech mi pani coś opowie, naprawdę mi na tym zależy.

Zaśmiała się.

— Szczerze? Nadęty, zakochany w sobie dupek. Potem czytałam trochę jego wierszy, rzeczywiście, coś w nich jest. Ale prowadząc wywiady w telewizji, nie pokazał nic specjalnego, wcale nie wiem, dlaczego zrobiono wtedy z niego taką gwiazdę.

— Ja też żałuję — skinąłem głową. — Gdyby nie ta medialna kariera, nie przestałby pisać.

— Czy ja wiem... Może jedno z drugim wcale nie miało związku. Prawdziwego pisarza nie jest w stanie zabić nic poza jego własną śmiercią, którą sobie hoduje przez całe życie.

To też był cytat ze Svana. Mógłbym nawet powiedzieć, z której konkretnie strony.

— A zresztą — podjęła — właściwie skąd to przekonanie, że się skończył? Wypiął się, zaszył w tych swoich Wujasicach pod granicą Rajchu, hoduje pszczoły i nie udziela żadnych wywiadów, tyle tylko wiadomo. Ale może siedzi tam na kufrze pełnym genialnych wierszy i codziennie dorzuca kilka nowych?

Sam się teraz dziwię, że w pierwszej chwili nie zareagowałem na nazwę, którą wymieniła. Odpowiedziałem tylko:

— Opublikowałyby coś przecież do tego czasu, prawda?

Wzruszyła ramionami.

— Znam ludzi — podjąłem — którzy twierdzą, że jeszcze przed wycofaniem się z publicznego życia miał jakieś kłopoty z głową. Urojenia, obsesje...

Nie było mi dane dowiedzieć się, co dziewczyna wie na ten temat. Byłem właśnie w połowie zdania, kiedy w tłoku oddzielającym nas od estrady dostrzegłem Majkela. Stał w wianuszkach rozmówców obok szpakowatego, wysportowanego mężczyzny w szarym garniturze, około pięćdziesiątki, bez żadnych szczególnych cech, które rzucałyby się w oczy. Chociaż mężczyzna ów wydawał się idealnym wręcz reprezentantem tego rodzaju ludzkiego, o jakim

luksusowe magazyny uwielbiają pisać, nie znalazła się w nich nigdy ani wzmianka na jego temat, nie mówiąc już o jakimkolwiek zdjęciu. Na bankiecie w hotelu „Jantar” był jednym z tych nielicznych gości, których twarzy prawie nikt nie rozpoznawał i za którymi nikt się nie oglądał. A i tacy, którzy, jak ja, orientowali się, kim jest, też wiedzieli niewiele. Jedni mówili, że był Szwedem, inni, że Norwegiem, ale tak naprawdę jeden diabeł wiedział, skąd przyjechał i czym się właściwie zajmuje. Nie miał żadnej firmy, nie robił interesów i lata spędzone w zawodzie dziennikarza w żaden sposób nie pomagały mi zrozumieć, jaki właściwie był mechanizm jego wpływu na media bez względu na to, który medialny koncern je posiadał i jaka partia obsadzała rady nadzorcze i zarządy. Ale co do istnienia tego wpływu i jego siły nie mogłem mieć wątpliwości.

Mężczyzna ten nosił trudne do wymówienia nazwisko Voediy, które Polacy przywykli przerabiać na Waldi, skontaktować się z nim było trudniej niż kupić używaną trumnę, i to on był właśnie, tak naprawdę, powodem mojego przybycia do Międzyzdrojów.

Poczułem się rozdarty. Strasznie chciało mi się kontynuować rozmowę z poznaną przed chwilą dziewczyną, a jednocześnie rozsądek alarmował, żeby łapać okazję, bo zaraz minie i więcej się nie powtórzy. Przerwałem w pół słowa, czując wypełniającą brzuch falę gorąca, gwałtownie przyspieszające bicie serca i nagłą suchość w ustach. W podobnej sytuacji nie można się nie zachować głupio, więc tak się właśnie zachowałem. Nie odrywając wzroku od Waldiego, chwyciłem dziewczynę za rękę, mówiąc:

— Niech pani nie ucieka. Bardzo proszę, niech pani na mnie poczeka, zaraz wrócę. — I nie obracając się więcej do niej, ruszyłem w stronę Majkela i Waldiego niczym kot, który poczuł zdecydowany i płynący z wyraźnie określonego kierunku zapach waleriany.

* * *

Skąd w ogóle wiedziałem, że ktoś taki jak Waldi istnieje? Odpowiedź wiąże się z człowiekiem, którego pseudonim i nazwisko już parę razy tutaj padło, ze Svanem Swarowskim — nie wierzę, żebyście o nim nie słyszeli, więc nie muszę się chyba specjalnie rozgadywać. Zacząłem kiedyś pisać jego biografię, a najciekawszy jej punkt to oczywiście ten moment, kiedy Svan nagle stał się gwiazdą. Każdy przyzna, że to była zupełnie groteskowa sytuacja. Był sobie poeta, bodaj czy nie najlepszy w Polsce od czasów Czechowicza, który do dwudziestego szóstego roku życia napisał pięć tomów genialnych wierszy, wydanych w śmiesznie niskich nakładach i niezauważonych przez psa z kulawą nogą. A potem, niemal z miesiąca na miesiąc, ich wznowienia zaczęły schodzić w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, bo zrobił się sławny. Ale nie jako poeta — zaczął prowadzić tokszoł w telewizji. Zadawał w czasie największej oglądalności pytania, w których dociekliwość mieszała się z chamstwem, i im bardziej obcesowo traktował swoich rozmówców, tym większe gwiazdy miał w programie. Oczywiście bardzo się to publice podobało — rekordy oglądalności, okładki kolorowych pism, Wiktory, Złote Ekrany, pamiętacie zresztą przecież.

Z samym Svanem porozmawiać nie miałem szansy, zabrałem się za dokumentację już po tym, jak z dnia na dzień wycofał się ze wszystkiego, ale przesłuchiwałem ludzi, którzy go dobrze znali. Żaden nie potrafił mi odpowiedzieć, jak to się właściwie stało, że gość uważany za życiowego nieudacznika, poeta znany garstce studentów ostatnich lat polonistyki, nagle dostał ten program. Facet, który był wtedy redaktorem programującym Jedyнки, powiedział tylko tyle, że pomysł zasugerował mu dyrektor anteny. Samego dyrektora anteny z różnych przyczyn spytać o to nie mogłem. Ale mogłem dzięki jakiemuś cudownemu zrządzeniu losu porozmawiać z jego byłą sekretarką, która z telewizji awansowała potem do biura prasowego Ministerstwa Pracy. I od niej właśnie dowiedziałem się, że dyrektor traktował to jako uprzejmość wyświadczoną pewnemu cudzoziemcowi, którego nazywał Waldim i który jakiś czas wcześniej zaczął się zajmować karierą Swarowskiego.

Poczułem, że siedzę na dobrym biograficznym tropie, i oczywiście zacząłem uruchamiać różne kontakty, żeby tego tajemniczego Waldiego odnaleźć. Ale, jak już mówiłem, okazało się to niełatwe. Co rusz natomiast traślałem na ślady jego działalności. Nie było wcale łatwo zrozumieć, na czym ona polegała — ludzie, co do których miałem pewność, że korzystali z jego pomocy, wcale nie chcieli o tym mówić, zaprzeczali wszystkiemu i usiłowali mnie spławić. Mimo to co do przynajmniej kilku zdobyłem absolutną pewność. Niejaka Gizia, która zrobiła straszną kasę jako szefowa różnych reality sho, Draczyk, ten od sitkomu „Cienkie Bolki”, Krzyś Nosik, scenarzysta, a teraz producent, którego teletasiemiec o szpitalu sam już nie pamiętam w jakiej to niby filmowej dziurze miał dwa lata pod rząd pierwsze miejsce w oglądalności, czy Umberto, ten z teleturnieju, wszyscy w taki czy inny sposób zadali się kiedyś z Waldim, wszyscy teraz prosperowali, ale, co najważniejsze — wcześniej wszyscy próbowali swych sił jako pisarze albo plastycy. Ktoś zapyta, co w tym niby specjalnego: takich, co za młodu chcieli zostać artystami, a potem szli w chałtury, było zawsze od metra. Nie miałbym na to żadnej odpowiedzi poza trudnym do racjonalnego uzasadnienia przekonaniem, że działo się tutaj coś innego.

Poza przekonaniem mianowicie, że ten Waldi, skądkolwiek wzięły się jego wpływy, jest kimś w rodzaju opisywanych w starych pamiętnikach sfiksowanych arystokratów ogarniętych pasją wspierania sztuki. Facetem, który wynajduje zdolnych, biedujących artystów i dyskretnie pomaga im w zrobieniu kariery. Wykorzystuje posiadane znajomości, a pewnie i wydaje niezłą kasę, załatwiając im zyskowne chałtury, klakę w mediach i wszystkie inne sprawy niezbędne, by mogli porobić kariery i w świętym spokoju zająć się pisaniem, malowaniem czy czym tam jeszcze. Trudno w dzisiejszych podłych czasach uwierzyć, że może się trafić ktoś taki, wspierający twórców nie dla podatkowych odpisów, tylko dla własnej satysfakcji. Ale im dłużej za tym chodziłem, tym więcej miałem poszlak, że tak właśnie jest.

Aż w pewnym momencie przestało już chodzić o biografię Svana. W pewnym momencie, domyślam się zapewne, zacząłem myśleć o sobie. Nie jestem już młody, nawet według limitów peerelowskich, kiedy w socjalistycznych związkach młodzieży działać można było do trzydziestego czwartego roku życia. Nie łapię się już nawet na precedens towarzysza Jaskierni, któremu w drodze wyjątku pozwolono kierować ZSMP do lat trzydziestu sześciu. Nie chcę mówić, że czuję się staro, ale czasami przy goleniu męczy mnie myśl, że wymarzone dzieła mojego życia to wciąż luźna mgła projektów, urywanych notatek i konspektów pochowanych głęboko w biurku w oczekiwaniu na lepszą okazję, dzień po dniu odsuwanych z braku czasu, pożeranych przez zarobkowe bieżączki. Człowiek powtarza sobie, że już, już, niedługo przysiadzie nad poważną robotą i pokaże, na co go stać. Ale nie stać go na nic, bo musi jak wrzucony do wody robak rozpaczliwie przebierać wszystkimi odnóżami, żeby się nie utopić. A pomysły wietrzeją i rozłazą się w palcach.

Skoro Waldi istniał i zajmował się tym, czym się zajmował, miałbym się za ostatniego frajera, gdybym przynajmniej nie spróbował się z nim skontaktować i podrzucić mu paru swoich opowiadań... Nie, nie opowiadań — wierszy, wiersze wychodziły mi lepiej, może dlatego, że nigdy mi nie przyszło do głowy, iż można by je drukować. Tylko jak do niego dotrzeć, skoro ludzie, którym pomógł, z jakiegoś powodu nie chcieli puścić na ten temat pary z gęby?

Postanowiłem zacząć poszukiwania od drugiego końca. Żeby móc lansować swoich podopiecznych, musiał Waldi mieć dobre stosunki z szefami i właścicielami prasy. Ci, uznałem, prędzej się do znajomości przyznają i chętniej posłużą pośrednictwem. Nie chwalać się, trafiłem już przy pierwszej próbie. Próbowałem zresztą bez żadnej nadziei na sukces, dla wprawy — chciałem przetestować na Majkelu, właścicielu zamieszczającego mnie czasem magazynu dla ludzi biznesu, czy bajer, jakobym sam świetnie znał Waldiego i mówił o nim jak wtajemniczony do wtajemniczonego, zabrzmiał wiarygodnie. Okazał się skuteczniejszy, niż

podejrzewałem, co było okolicznością podwójnie szczęśliwą, bo na Majkela miałem haka. W innej sytuacji wydobyte podstępem wyznanie i tak by się pewnie na nic nie przydało; po prostu by odmówił. Nawet teraz, na bankiecie w „Jantarze”, przeciskając się do niego przez tłum, widziałem wyraźnie, jak wciąż się waha, czy nie lepiej będzie jednak udać, że mnie nie zna, nawet narażając się, że upublicznię jego machlojki i chamskie zagrywki w którejś z gazet.

No tak, trudno przy tej okazji nie wspomnieć o Majkelu, a to osobna historia i znowu się będę musiał o niej rozgadać... W największym skrócie: Majkel był Amerykaninem i jak mało kto potwierdził moje od dawna żywione podejrzenie, że jeśli gość ma obywatelstwo USA, może tam do woli mieszkać, pracować i robić interesy, a mimo to przyjeżdża na stałe do Polski — to należy się od niego trzymać jak najdalej. Nie wykluczam, oczywiście, że ktoś taki może być zupełnie porządnym i fajnym człowiekiem. Teoretycznie to możliwe. Ale w praktyce najprawdopodobniej należy do jednego z trzech podstawowych typów. Albo będzie to nawiedzony, który pobyt tutaj traktuje jak cywilizacyjną misję, i to jeszcze stosunkowo najlepszy wariant, albo nieudacznik, który w Ameryce spieszył wszystko, czego się tknął, i zrobili go doradcą polskiego rządu czy egzekutywem tutejszej filii, żeby się kretyna pozbyć, albo wreszcie zwykły oszust. I to oszust marny — nie z tych, broń Boże, co potrafią wymyślić „Enron” czy inną zmyślną aferę, bo taki zostałby na Wall Street. Do nas przyjeżdżają wyłącznie ci, których możliwości wyczerpują się na przekrętach banalnych i prymitywnych, za które w Ameryce posadzono by ich w minutę osiem, a tutaj, u dzikusów z dawnego bloku sowieckiego, uchodzą bezkarnie.

Majkel należał do tej trzeciej kategorii. Jego sposób na zarobienie pieniędzy był prosty — polegał na tym, żeby znajdować coraz to nowych naiwnych i dymać ich jak długo się tylko da, a kiedy się w końcu zbuntują, wywalić i zatrudnić następnych. Bezrobocie w branży jest duże, a dochodzić swoich praw przed sądem można do usranej śmierci, więc system Majkela się sprawdzał. Obiecywał warunki pracy nieco powyżej standardu, potem przez parę miesięcy grał w durnia, później usiłował coraz bardziej zirytowanego redaktora wzruszyć wizją swoich kłopotów finansowych, zaprzyjaźnić się, żeby tamtemu było głupio domagać się w takiej sytuacji zaległych poborów, wzbudzić w nim poczucie winy, że pismo się źle sprzedaje, zastraszyć swymi znajomościami — aż w końcu, wyczerpawszy możliwości, wywalił na zbity pysk, z wielką łaską wypłacając drobną część tego, co był winien. Ludzie po prostu wstydzili się potem komukolwiek poskarżyć, więc Majkel łatwo zatrudniał następnych redaktorów naczelnych i sekretarzy redakcji. Oczywiście po każdej zmianie autorom tekstów zamówionych i wydrukowanych przez poprzednią redakcję oznajmiał z żalem, że wydawnictwo za działalność tych panów nie może odpowiadać.

Sam znalazłem się wskutek braku należytej czujności w tej ostatniej sytuacji i postanowiłem nie popuścić. Ja nie z soli ani z roli, jeno z tego, co łeb wydoli, powtórzyłem sobie maksymę kolegi po fachu, mniejsza o te marne półtora tysiąca, ale chodzi o zasadę. Wrywanie wydawcom z gardła zaległych honorariów to w ogóle osobna dziedzina wiedzy, w której mam pewne doświadczenie, i być może kiedyś napiszę stosowny podręcznik. W tym wypadku wiedziałem od razu, że idąc wprost na udry, nie zdziałam nic, więc postanowiłem się z dłużnikiem skumplować, co było o tyle proste, że Majkel, jak już wspominałem, celował w odstawianiu strasznie kul-Bady-kolesia, a na dodatek dostrzegł we mnie kolejnego leszcza, którego można by na jakiś czas zatrudnić. Moja metoda była w takich wypadkach prosta — podejmowałem się przygotowania jakiegoś kluczowego materiału, przewlekałem na ostatni termin, a potem stawiałem sprawę jasno: płacisz zaległe honoraria i z góry kasę za bieżącą robotę albo szukaj innego frajera, tylko wcześniej zadzwoń umówić się na nowo z drukarnią i dystrybutorem.

Metoda okazała się zresztą wobec cholernego Jankesa nieskuteczna — miał swoją złodziejską dumę, nie dam się, powiedział, szantażować, i faktycznie, wołał przewalić numer

o półtora miesiąca. Ale jednocześnie nabrał dla mnie pewnego szacunku i kiedy przyszedłem pokazać mu risercz, jakie zebrałem w tak zwanym międzyczasie do artykułu o jego interesach, i zaproponować kompromis, zachowywał się z respektem, jak nie on. Kompromis był korzystny — odpuszczę mu pod warunkiem, że skontaktuje mnie gdzieś na neutralnym gruncie z Waldim, oczywiście nie byle jak, tylko ręką za mój wybitny talent i gorąco polecając.

Wahał się chyba do ostatniej chwili — kiedy już przepchałem się i powitałem z nim wylewnie, a potem jak gdyby nigdy nic odwróciłem do stojącego obok szpakowatego mężczyzny, wyraźnie czekając, aż Majkel zachowa się na miejscu, zapadło kilkusekundowe niezręczne milczenie.

— Panie prezesie — powiedział wreszcie, ze zdenerwowania nawet mało kalecząc wymowę — to mój przyjaciel i współpracownik, Rafał Aleksandrowicz. Znakomite pióro, nie tylko dziennikarskie. Z całą pewnością jedno z najlepszych w tym kraju.

Nawet przekonująco to zagrał.

— Cieszę się — podjąłem, wymuszając na Waldim uścisk dłoni. — Bardzo chciałem pana poznać. Rzeczywiście, sporo piszę, słyszałem, że to pana ciekawi.

— Ach — powiedział tonem doskonale wypranym z wszelkiego zainteresowania. — A co pan pisze?

Majkel najwyraźniej się rozkręcił, a może wypił już trochę, bo zamiast uznać, że zrobił swoje, nagle zapragnął mnie jeszcze lepiej zareklamować.

— Czytałem jego opowiadania science fiction, panie prezesie, ma naprawdę znakomite pomysły — łął, oczywiście, w życiu nic mojego nie czytał, ale ktoś mu musiał na nieszczęście opowiedzieć o tych paru chałturach w „Nowej Fantazji”.

— Science fiction to tylko zabawa — usiłowałem sprostować. — Między nami mówiąc, jestem poetą. Widzi pan, wiersze to nie jest coś, co pisze się dla kariery, dlatego nawet nie próbuję ich drukować. W zupełności wystarczy mi świadomość, że jestem w tym dobry.

Waldi zaprezentował uśmiech, któremu nie sposób było czegokolwiek zarzucić — poza tym, że był to uśmiech z plastiku.

— To ja chyba pierwszy raz spotykam kogoś, kto wierzy w UFO. Ale poecie to nawet z tym do twarzy.

Towarzystwo zaśmiało się sztucznie i hałaśliwie, najgłośniej oczywiście Majkel. Byłem stremowany, miałem wrażenie, że cała rozmowa do niczego nie prowadzi, i czułem się bezradny wobec plastikowej obojętności tego faceta. A poza tym w ogóle źle znoszę fakt, że każdy głupek, który usłyszy o moich opowiadaniach science fiction wyjeżdża od razu z UFO. Powiedziałem więc, patrząc Waldiemu prosto w oczy, co akurat przyszło mi do głowy:

— Wie pan, gdybym sam był kosmitą, też robiłbym wszystko, żeby ludzie się z wiary w UFO śmieli do rozpuku.

Plastikowa maska drgnęła, tkwiące w niej oczy ożyły i zlustrowały mnie dokładnie, jakbym dopiero teraz pojawił się w polu ich widzenia. Trwało to tylko moment. Łysy facet obok Majkela podjął jakąś opowieść, najwyraźniej przerwana moim przyjściem — nie wiem, kto to w ogóle był, ale sądząc po uwadze, z jaką się w jego słowa wsłuchiwało, chyba on właśnie stanowił centrum krystalizacji tej grupki. Wygłaszał jakieś bardzo kategoryczne sądy na temat polityki „tych idiotów”, inny, równie mi nieznaną facet wyraził na to opinię, że mimo wszystko „tamci” są jeszcze głupszy, z czym zresztą łysy za bardzo się nie spierał — słowem, rozmowa wartko szła w zupełnie niewłaściwą stronę, a Waldi przypatrywał się łysemu z tym swoim plastikowym uśmiechem, na oko całkowicie pochłonięty jego perorą.

Złapałem na chwilę rozradowany wzrok Majkela — łatwo było wyczytać w jego oczach „okej, załatwiłem ci wstęp na bankiet, przedstawiłem, jesteśmy kwita, a teraz spadaj i nie przeszkadzaj mi z reklamodawcami”.

Stałem pomiędzy nim, zasłuchanym Waldim i łysym jak głupi, nie mając za grosz pomysłu, jak tu jeszcze raz zagadać i wrócić do sprawy swoich wierszy — coraz bardziej spocony z wrażenia i coraz bardziej rozpaczliwie szukając w zakamarkach szarych komórek jakiegokolwiek pomysłu. Czas płynął, a ja wciąż niczego tam nie znajdowałem.

I nagle, kiedy już nabierałem przekonania, że zmarnowałem mnóstwo czasu i energii tylko po to, żeby się kompletnie wygłupić, poczułem, jak Waldi delikatnie, ale stanowczo wypycha mnie z kręgu zasłuchanych w opowieści łysego rozmówców. Zrobił to z taką wprawą, że dla innych nasz ruch musiał wyglądać najzupełniej naturalnie, jakbyśmy obaj jednocześnie zauważyli przechodzącego kelnera i ruszyli w jego stronę wymienić puste szklanki na pełne. Gdyby nie panujący wokół tłok, mógłbym użyć określenia, że Waldi „wziął mnie na stronę”.

— To nie było mądre — powiedział, puszczając mój łokieć i przeszywając mnie ostrym, przenikliwym spojrzeniem. — I proszę przekazać Svanowi, że nadużywa mojej cierpliwości. Umowa była jasna, dobrowolna i ja ze swojej strony jej dotrzymałem. Nikt go nie upoważniał do wtajemniczania innych osób.

— Powtórzę — powiedziałem. — Jeśli będę miał okazję.

— Dobrze — westchnął. — Skoro już pan do mnie dotarł, byłoby lepiej, żeby naprawdę okazał się pan mieć talent. No, gdzie pan schował te swoje wiersze?

Sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem z niej przygotowywany starannie przez kilka ostatnich tygodni tomik. Właściwie wydrukowałem na tę okazję na redakcyjnym komputerze niemal profesjonalną książkę, brakowało tylko płóciennej okładki z tłoczeniami. Otworzył na chybił trafił i przez chwilę czytał w słabym świetle lampionów. Zajrzałem mu przez ramię — akurat był to wiersz o moim starym:

też nocy przyszedł ojciec
smucił się u wezłowania
jakby to serce co pękło
wciąż bolało
bez słowa
patrzył w twarz syna
szukał
bruzd po swoich naukach
coś przypominał opowiadał
ale samym milczeniem
już się tak nie rozumiemy jak kiedyś
już nie wiem...

Wiersze szybko się czyta; Waldi zamknął książeczkę, zważył ją w dłoni i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Pamięć siłą rozpędu podrzuciła mi końcówkę:

wrócił w końcu strapiony
błąkać się po niebieskich szlakach
rano pamiętam myłem twarz
mocno długo
jakbym chciał ją z siebie zdrapać.

— W środku jest moja wizytówka — zdążyłem jeszcze poinformować Waldiego.

— Dobrze — powtórzył tonem wskazującym, że wcale jej nie potrzebuje. — Wie pan, jakie są zasady, Svan panu na pewno powiedział. Tak czy owak, wierzę, że zdaje pan sobie sprawę z wszystkich powodów, dla których mogę liczyć na pańską dyskrecję. Podejmę decyzję w najbliższych dniach.

Przedostatnie zdanie, sam nie wiem czemu, zabrzmiało jakoś złowieszczo. Waldi klepnął mnie po ramieniu, obrócił się z godnością i w jednej chwili znikł w tłumie.

Uświadomiłem sobie, że jestem cały spocony, nogi mam jak z waty i zaraz wypływają serce. Na szczęście płyn, który roznosili kelnerzy, nadal nie był sokiem jabłkowym. Ktoś strzelił mi po oczach lampą błyskową, fotografując znaną aktorkę pogrążoną w rozmowie z panią prezes organizacji postępowych kobiet, potem ktoś sprzedał mi łokcia pod żebro, przepychając się w sobie tylko znanym kierunku, i jakoś pozwoliło mi to wszystko przypomnieć sobie, gdzie jestem. Waldi, łysy i Majkel definitywnie rozpuścili się przez ten czas w otoczeniu. Zresztą nie było żadnego sensu ich szukać. Sprawa została załatwiona.

Załatwiona — uświadomiłem to sobie ze zdumieniem.

I zaraz potem przypomniałem sobie o nieznajomej. Ruszyłem na poszukiwania. Oczywiście w miejscu, gdzie przerwaliśmy rozmowę, nie było już po niej śladu.

Przechadzałem się po ogrodzie wzdłuż i wszerz, od namiotów z poczęstunkiem aż do estrady, na której kończył się produkować jakiś saport, zajrzałem w zaułek za sceną, obszedłem dokoła każdy z namiotów, potem wróciłem do hotelowego holu i znowu pod estradę.

Zniknęła. Trudno było mieć o to pretensję — niby dlaczego miałyby sterczeć tam jak głupia i czekać, aż załatwię swoje sprawy, tylko dlatego, że tak powiedziałem?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, jak się ona nazywa, jak ma na imię, i w ogóle nie dysponuję żadną informacją, która byłaby pomocna w ustaleniu jej tożsamości. Powiedziała, że jest aktorką, ale gdzie grała — oczywiście nie przyszło mi do głowy się zainteresować. Mogłem teraz pytać kogo tylko chciałem, czy nie widział aby dziewczyny o kasztanowych włosach, pogodnym uśmiechu i takich wesołych ognikach jarzących się w oczach. Rzeczywiście, rokowało to wielkie szanse na sukces.

Karmniki powoli pustoszały, wataha gości przesuwała się pod estradę, na której instalował się już zespół towarzyszący gwiazdzie wieczoru — zaproszenie informowało wielkim drukiem, że będzie nią sama pani Matylda. O pani Matyldzie wiedziałem tyle, że w czasach, gdy jeszcze siadywałem na nocniczku, zasłynęła powiedzonkiem „dupę se zedrę, a gwiazdą zostanę”, i trzeba z szacunkiem przyznać, że w pracowitym życiu zarówno jedno i drugie udało jej się zrealizować w stu dziesięciu procentach.

W ferworze poszukiwań odpuściłem niewiarygodną okazję załapania się na wódkę i kawior, przy których kolejka zmalała na chwilę do raptem kilku osób, a nawet zapomniałem wymienić u kelnera pustą szklankę na pełną. Cofnąłem się jeszcze raz do holu i zabrałem do przeszukiwania ogrodu bardziej metodycznie, kawałek po kawałku, od lewej do prawej, a potem na wszelki wypadek raz jeszcze od prawej do lewej. Przeciskałem się pomiędzy ludźmi, wśród których jak na złość nagle zaczęli się znajdować jacyś nie wiadomo skąd i od kiedy znajomi, i oczywiście nie wypadało nie zamienić z nimi choć paru zdań. Zanim ponownie docisnąłem się pod estradę — teraz to tu, a nie przy opustoszałych już bufetach, zrobiło się najgęściej — pani Matylda zaczęła zapraszać na nią swoich gości. Gościem pierwszym był niejaki Kuki, swego czasu bardzo zajadły punkowy kontestator, protestujący w Jarocinie przeciwko pociskom rakietowym „Pershing” i „Cruise” tudzież faktowi, iż rzeczywistość jest szara. Teraz płaśał wokół pani Matyldy w takt chałturniczego tango argentyńskiego niczym wyliniały pingwin obskakujący tlenionego wieloryba.

W końcu musiałem przyjąć do wiadomości, że Wesołooka już sobie poszła albo zaszła się w jakimś miejscu dla mnie niedostępnym, co zresztą na jedno wychodziło. Wydostałem się z najgęstszego tłumu, znalazłem po drodze kelnera, ale tym razem trafiłem na sok jabłkowy. Chlusnąłem nim zniechęcony na trawę i definitywnie skierowałem się w stronę wyjścia właśnie w chwili, gdy Kuki i Matylda podnieconymi głosami przyzywali na estradę Pierwszą Damę. Przy wejściu minąłem łysiego, który prezentował jakiemuś platfusowi w garniturze

jedną z przebranych za kirasjera hostess. „Panie pośle, proponuję Marzenkę”, dobiegło mnie w przelocie.

Szedłem złapać parę godzin snu przed czekającą mnie nazajutrz drogą powrotną do Warszawy. Drogą na ładne parę godzin, bo jak przystało człowiekowi zarobkującemu pisaniem dla różnych Majkelów, w ramach oszczędności przyjechałem do Międzyzdrojów samochodem. Jeśli oczywiście określenie „samochód” nie jest w odniesieniu do mojego srebrnego szerszenia zbyt górnołotne.

* * *

Nie zamierzam negować licznych wad, które miał mój dwunastoletni hyundai jako środek lokomocji. Sypał się, dymił, psuł, zarżnięty silnik ledwie wyrabiał połowę pierwotnej mocy, w kierownicy nie dało się zlikwidować luzu, pedał gazu działał z dwusekundowym opóźnieniem, nawet mechanik nie potrafił wyjaśnić dlaczego, i tak dalej. A jednak warto było nim jeździć. Srebrny szerszeń miał duszę. Wbrew pozorom to się dość często zdarza przedmiotom, jeśli tylko jest się im wiernym i okazuje życzliwość.

Ja w ogóle bardzo lubię przedmioty. Lubię je gromadzić, otaczać się nimi i serdecznie chrząnąć tych różnych posthipisowskich mędrków, którzy o „gromadzeniu rzeczy” nie potrafią mówić inaczej niż z pogardą. Jeszcze nigdy żadna rzecz, jaką w życiu znałem, nie okazała się świnią, nie zełgała ani nie zrobiła mi żadnego draństwa. A ludzie — nagminnie. Więcej, jeśli lubisz przedmioty, one po jakimś czasie zaczynają to odwzajemniać. Na przykład mój zegarek, muzealna delbana, jeszcze po ojcu, starsza ode mnie ze dwa razy i zdezelowana tak, że kiedy pękła w niej sprężyna, wyśmiało mnie z siedmiu zegarmistrzów, dopiero staruszek — emeryt z Hożej podjął się coś dopasować. Nosiłem ją uparcie i nie chciałem wymienić na nic nowoczesnego ani eleganckiego, a ona albo spóźniła się o pięć minut na dobę, albo śpieszyła o dziesięć, bez żadnej rządzącej tym reguły. Ale kiedy parę razy znalazłem się w takiej sytuacji, że dobrze działający zegarek stawał mi się niezbędny, wystarczyło powiedzieć: „słuchaj, jest taka sprawa, naprawdę mi zależy”. I możecie wierzyć albo nie, ale wtedy moja del — bana potrafiła się sprężyć, wysilić i przypomnieć sobie, że jest szwajcarskim zegarkiem. Oczywiście na te kilka dni, kiedy naprawdę było to konieczne.

Ze srebrnym szerszeniem było podobnie. Jeśli było to ważne, potrafił się nie psuć tak długo, aż opanowałem sytuację. Potrafił też odwrotnie, nawalić w odpowiednim momencie. I tak właśnie zrobił następnego dnia po bankiecie, kiedy wracałem z Międzyzdrojów. Minąłem właśnie krzyżówkę za terenem zabudowanym i chciałem przyśpieszyć, kiedy coś w nim przeraźliwie zazgrzytało, zawyło, stuknęło — i zaczął zwalniać. Zatrzymałem się, zajrzałem pod maskę, bardziej dla formalności, niż żebym naprawdę umiał tam coś poprawić. Nic się nie paliło, więc ruszyłem dalej, przemawiając do samochodu łagodnymi słowami i usiłując mu wytłumaczyć, że jeśli już musi się rozkręcić, to, na litość boską, przynajmniej nie na odludziu. Szerszeń trochę dziwnie wył i drżał, ale radził sobie dzielnie. Tyle tylko, że jakbym nie deptał po pedale, jechał czterdziestką i ani odrobinę szybciej.

Teraz, oczywiście, wiem doskonale, dlaczego tak zrobił. Gdyby nie ta awaria, jestem więcej niż pewien, że obok drogowskazu z napisem „Wujasice — 4,5 km” przemknąłbym, ani go dostrzegając. A wlokąc się skrajem pobocza czterdziestką, przeczytałem go raz, drugi i trzeci po prostu z nudów. Wujasice, ale głupia nazwa. Gdzie też ja ją ostatnio słyszałem?

To akurat przypominałem sobie w ułamku sekundy, bo o dziewczynie z bankietu jakoś tak myślało mi się od samego rana; nawet zaczął mi się powoli układać bardzo fajny wiersz dla niej. A te myśli z kolei nieuchronnie przypominały o istnieniu Svana, nadużywającego cierpliwości Waldiego. Powiedziała przecież, że pracowała w tym samym co on czasie w telewizji jako początkująca prezenterka... To już był jakiś trop.

Zaszył się w tych swoich Wujasicach... pod granicą Rajchu, to się też zgadzało.

Zatrzymałem się, cofnąłem do miejsca, z którego odchodziła boczna droga, i bez dalszych deliberacji ruszyłem w kierunku wskazywanym przez drogowskaz. Kilkaset metrów droga wyglądała dość przyzwoicie, potem zaczęły się coraz gorsze dziury i wądoły, aż przyszło mi się zastanawiać, jak długo wytrzymam, zanim złapię chorobę morską.

Dotarłem w końcu do pegeerowskiej wioski, tak obrzydliwej, że gdybym miał tam kiedyś zamieszkać, każdego ranka dostawałbym na dzień dobry torsji: ponure klocki z wielkiej płyty, jakie budowniczowie socjalizmu wznosili bohatersko na całym obszarze byłego imperium, od Łaby po Kamczatkę i Dunaj. I wszystko przygnębiająco szare; sprane szmaty, suszące się na niezliczonych sznurkach, okna, bodaj nigdy w swej historii nieumyte, kruszące się na krawędziach ściany. A dookoła wały się sterty śmieci rdzewiało jakieś żelastwo i biegały zawszone, brudne jak nieszczęście dzieci. Minąłem te peerelowskie czworaki i zatrzymałem się dopiero za zakrętem, pod brudnym jak wszystko w okolicy szarozielonym kontenerem z kratą w oknie i obszczypanym, wyblakłym szyldem „Art. Spożywcze i Monopol.”. Placyk przed kontenerem obsiadło z sześciu facetów w sile wieku, o wyglądzie nurów. Zalegli na przyrmach obłupanych płyt chodnikowych, prowizorycznej ławce z grubej tarcicy i cementowych schodkach pawilonu, pogrążeni w jakichś przeraźliwie smutnych kontemplacjach. I wbrew schematowi nie mieli w rękach żadnych flaszek. Pewnie dlatego wyglądali tak rozpaczliwie. Nie mogły tego wrażenia zmienić skoczne dźwięki wydawane przez ustawiony w oknie sklepu dwukasetowy kombajn. Na tle regularnego pompowania komputerowego basu bliżej nieznanego artysta zawodził cienko:

Dziewczyno, dziewczyno, dziewczyno
Dlaczego jesteś taka
Dziewczyno, dziewczyno, dziewczyno
Rzuciłaś swojego chłopaka

Gdyby w oczywisty sposób nie przerastało to politechnicznych zdolności towarzystwa pod sklepem, byłbym pewien, że w jakiś sposób zapętlili nagranie, bo powtarzana w kółko apostrofa do niedobrej dziewczyny zdawała się nie mieć końca. Wysiadłem, jak gdyby nigdy nic obszedłem szerszenia dookoła, zajrzałem do bagażnika, raz jeszcze pod maskę, obejrzałem z uwagą opony, spodziewając się, że moje przybycie wywoła wśród zgromadzonych jeśli nie sensację, to w każdym razie zainteresowanie. Nic podobnego. Po siódmym powtórzeniu duszoszczypatielnego refrenu sam w końcu podszedłem do siedzących.

— Dzień dobry.

Ze dwa słabo artykułowane pomruki, które odezwały się w odpowiedzi, można było przy pewnej dozie dobrej woli uznać za odwzajemnienie powitania. Powiodłem wzrokiem po mieszkańcach Wujasic; facet w swetrze w poczerniałe czerwone i granatowe romby, siedzący na cementowym schodku, wyróżniał się wśród nich siwizną i wydawał o stopień mniej złachany, więc zwróciłem się do niego.

— Panowie, nie ma tu jakiegoś mechanika? Trwało całą wieczność, zanim siwy zwrócił na mnie uwagę, rozważył treść pytania i w chwili, gdy nie spodziewałem się już żadnej odpowiedzi, przekazał je dalej.

— Józsiuk?

— No? — zareagował po jakimś czasie trzydziestoparolatek w rozgokolonej szeroko kraciastej flaneli, walonkach, drelichowych spodniach i włóczkowej damskiej czapeczce, niegdyś zapewne żółtej.

— No, ty przecież jesteś mechanik.

— A jaki tam teraz ze mnie mechanik.

— No, traktory naprawiałeś, to i takie coś...

Józiuk zadumał się głęboko, popatrzył na srebrnego szerszenia, na mnie, na brud za swoim paznokciem, znowu na samochód, w końcu oznajmił z głębokim przekonaniem:

— A chuj tam...

— Zapłacę panu — wyrwałem się przekonany w swej naiwności, że na obszarach strukturalnego bezrobocia ludzie o niczym innym nie marzą, tylko o pracy i zarobku. Artysta poinformował dziewczynę, że jest taka i że rzuciła, jeszcze jakieś siedem czy dziewięć razy, zanim dotarło do mnie, że nie doczekam się na tak nikczemną propozycję żadnej odpowiedzi.

Oczywiście wszystkie błędy, jakie popełniłem w tej rozmowie — ale to zostało mi uświadomione później — były typowe dla miastowego, który nagle znajdzie się w miejscu podobnym do Wujasic. Trudno komuś takiemu zdać sobie sprawę, że obszary pegeerowskie zaludniają filozofowie — praktycy, którzy latami kontemplacji i ascezy wyrobili w sobie pogardę dla marności tego świata, jego bezsensownego zgiełku i materialnych pokus. Jeśli się, jak to właśnie robiłem, zakłóca gwałtownie ich bliskie kosmicznej harmonii trwanie, wnosząc w nie ten właśnie zgiełk, pośpiech i przyziemny materializm, nie należy doprawdy liczyć na życzliwość.

Wszedłem do sklepu. Asortyment, wyłożony luźno na półkach, odbiegał daleko od potocznego wyobrażenia o wiejskim sklepie — przywodził raczej na myśl budki ze słodyczami pod Dworcem Centralnym. Ziemniaki, jak w supermarkecie, odważone fabrycznie do plastikowych siatek, chleb i wędliny tylko w folii, wszystko to zresztą pochowane po kątach — większość miejsca zajmowały jaskrawe opakowania batoników, drażetek, czipsów, kawy i duńskich ciast z półrocznym terminem ważności; ktoś mi mówił, przypomniałem sobie, że im mniejsza wioska, tym bardziej ludzie kupują w niej tylko to, co jest reklamowane w telewizji. Lokalną specyfikę zaznaczała jedynie półka, na której pyszniły się regionalne wina o tak ujmujących nazwach jak „Desiree”, „Samantha” czy „Dolores”, z wyeksponowanymi na etykietach cynamonowymi pięknościami przefotografowanymi z jakiegoś magazynu dla panów.

— Podać coś? — Siwy podniósł się ze schodków i bez pośpiechu zajął miejsce za ladą.

— Sok grejpfrutowy. Taki facet, Swarowski... Zna pan może? Mieszka gdzieś tutaj.

— Coś jakby... — mruknął i popatrzył na mnie z niechęcią. — Drobne, człowieku, skąd ja ci wezmę reszty.

— Ma tu pasiekę — znalazłem w końcu drobne, zgarnąłem je w milczeniu do szuflady.

— To w którą stronę? — nie ustępowałem.

— A, za wsią.

— Ty, kurde... — Obróciłem się: w drzwiach, za moimi plecami, stał były mechanik wpatrzony pożądliwie w banknoty, które w trakcie poszukiwań wydobyłem z portfela. — Kurde, postaw winko.

Zaskoczył mnie. Schowałem portfel, zabrałem butelkę soku i zrezygnowałem z dalszych prób wydobywania ze sprzedawcy czegokolwiek.

— Kurde, no nie bądź chuj...

Znalazłem w końcu najstosowniejsze do sytuacji słowo:

— Spierdalaj.

Usunął się z drogi grzecznie, tylko wzrok, jakim zostałem odprowadzony do samochodu nie pozostawiał wątpliwości, że okazałem się żalonym skąpcem i godną pogardy świnią.

Następną próbę indagacji podjąłem dopiero kilkaset metrów dalej, zatrzymawszy się przy maszerującym leniwie dziadku. Tym razem, nauczony doświadczeniem, postarałem się najpierw o złapanie mentalnego kontaktu, zagadując niezobowiązująco o to i owo. Wiązało się to między innymi z koniecznością wysłuchania, że Balcerowicz ukradł osiemdziesiąt miliardów z budżetu (tak, tak, w dzienniku mówili!) i chce ich tu wszystkich zapędzić na parobków do Niemca. Kiedy w końcu spytałem dziadka o Swarowskiego, nabrał

podejrzliwości i ogłędnie wyraził negatywne nastawienie wobec jego osoby, ale drogę do pasieki pokazał.

Trzeba było zrobić jeszcze jakieś półtora kilometra pośród nieużytków, aż do granicy lasu. Gospodarstwo przylegało do niej. Wyglądało, przynajmniej na tle samej wioski, schludnie, chociaż zwaliste ponemieckie budynki robiły raczej przygnębiające wrażenie.

Wchodziłem na podwórze z przejęciem i treścią, ale szybko się okazało, że gospodarza nie ma w domu i wróci dopiero wieczorem. Poinformowała mnie o tym szczupła, ciemnowłosa kobieta, która mogłaby nawet być ładna mimo pewnej żyłastości i ostrości rysów, gdyby nie ekologiczny obyczaj pozostawiania całej dbałości o swój wygląd naturze. Na pytanie, czy mam przypadkiem przyjemność z małżonką, odburknęła: „coś w tym rodzaju” i zaproponowała, żebym jeżeli chce mi się czekać na Svana, poszedł sobie do lasu na spacer.

Nic lepszego nie przyszło mi do głowy poza myślą, że nie wypada się zwać do obcego człowieka z zupełnie pustymi rękami. Wróciłem do sklepika, kupiłem trochę paczkowanego jedzenia i butelkę wódki — cud, że pośród dystrybuowanych tam specyfików znalazła się przyzwoita czyściocha — a potem na parę godzin zagłębiłem się w lesie. W końcu znalazłem kawałek wygodnego, pięknie osłonecznionego pagórka, z którego dobrze było widać bramę obejsia.

Swarowski przyjechał w swojej furgonetce rzeczywiście dopiero pod wieczór. Odczekałem jeszcze z pół godzinki, żeby dać mu czas na ogarnięcie się po podróży — no i wreszcie stanąłem ze swoim idolem twarzą w twarz.

— O co chodzi? — zapytał nieuprzejmie, kiedy się przedstawiłem. Zdaje się, że pojęcie uprzejmości w ogóle w tych stronach nie istniało.

— Jestem poetą — przeczucie podpowiedziało mi, że lepiej się nie przyznawać do dziennikarstwa, ale ten wariant też nie był dobry.

— No kurna, nie! Spłyń, człowieku, nie mam czasu niańczyć jakichś cieniasów.

— Chwileczkę! W końcu zrobiłem kawałek drogi, żeby tu dotrzeć...

— To twój problem — mruknął, nawet się nie odwracając.

— Zaraz, niech pan poczeka! Widziałem się wczoraj z Waldim, muszę z panem o tym porozmawiać!

Tym razem zawrócił. Popatrzył na mnie i westchnął ciężko.

— Następny idiota, co? Zamarzyły ci się pieniądze i sława, że sobie pochałturzysz, dom, kasa, basen i dopiero potem weźmiesz się za te wielkie dzieła na użytek potomnych? Co? Palant. Ja ci w tym nie pomogę.

A Waldi, jakbyś go jeszcze spotkał, niech mnie w dupę całuje. Nic już w życiu nie zamierzam robić. Nic.

Zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu i powiedział:

— Szczerze życzę, żebyś się okazał grafomanem, to się mniej będziesz męczyć, palancie. Zresztą jak się już skumałeś z tamtym, to ja ci nic nie poradzę. Płyń i nie zwracaj mi dupy.

Odwrócił się, tym razem definitywnie, i zniknął w swoim domu, trzaskając drzwiami. Nawet nie poczułem urazy — jak na tutejsze obyczaje zachowywał się i tak z godną poety subtelnością. Mógł mnie kopnąć w tyłek albo spuścić psy.

Wróciłem do srebrnego szerszenia, żeby po dłuższym zastanowieniu dojść do wniosku, że nie chce mi się tłuc do Warszawy czterdziestką po nocy. Zabrałem z bocznego siedzenia torbę z zakupami i wróciłem na mój punkt obserwacyjny uraczyć się kolacją przy zachodzącym słońcu. Potem, pomyślałem, przejdę się jeszcze kawałek po lesie, prześpię parę godzin w samochodzie i świtem ruszę w stronę głównej drogi szukać jakiegoś warsztatu.

* * *

Plan pewnie zostałby zrealizowany, gdyby nie tych dwóch miejscowych. Nie sądzili, że ktokolwiek mógłby ich zauważyć, i pilnowali się tylko Swarowskiego, czy nie wyjrzy aby ze swego domu. Gdyby to zrobił, zdążyliby na pewno dać nogę do lasu.

Walczyłem ze sobą, obserwując, jak po cichu, śruba po śrubie, wywalają przy świetle latarki zamki szopy. W końcu, uważając, by nie narobić hałasu, wycofałem się do drogi, a stamtąd spiesznym krokiem na Svanowe podwórko.

Kiedy zobaczył, kto puka, jego twarz w szparze drzwi wykrzywiła się ze złością. Odczekałem chwilę, aż zaczął otwierać do krzyku usta i powiedziałem:

— Jakichś dwóch typów obrabia ci właśnie szopę, palancie — po czym odwróciłem się na pięcie. Nie będę ukrywał, że to ostatnie słowo sprawiło mi nieopisaną satysfakcję.

— Kurwa ich mać — zapiał. — Ty, poczekaj! No stój, poczekaj chwilę.

Wrócił szybko, dopinając się z wściekłością, z utrzymaną pomiędzy barkiem a głową, na paganiniego, komórką.

— Wojtek? Znowu przyszli, skurwysyny. No, chyba jeszcze są w szopie. A, świetnie! Dobra!

Skończył ze spodniami, chwycił komórkę, wyłączył i wpuścił do kieszeni, a potem raz jeszcze zanurkował w sieni, wyciągając z kąta dwa solidne zbrojeniowe pręty, przycięte mniej więcej na długość drążka od flagi. Wcisnął mi jeden z nich i rzucił przez ramię:

— No, szybko!

Pobiegliśmy, znowu dookoła, żeby wyjść na dziurę w płocie od strony lasu. Tamci, niczego nie podejrzewając, kończyli właśnie wyłamywanie zamka. Po chwili drzwi zazgrzytały cicho i dwa ciemne cienie zniknęły wewnątrz szopy.

— Teraz cię wreszcie mam, skurwysynu — zasyczał przez zęby Svan i z nastawionym do ciosu prętem zaczął się, wpatrzony w drzwi szopy, przy dziurze w ogrodzeniu. Przysiadłem za nim.

— Kradną? — zagadnąłem szeptem po dłuższym milczącym oczekiwaniu. Moja domyślność czasami mnie samego poraża.

— Żeby przynajmniej kradli... Niszczą mi narzędzia, gnoje. Wcześniej próbowali niszczyć ule, ale się boją pszczół.

— Po co?

— Na złość. Parę dni temu znowu mi zatłukli psa. Szpadłem. Ale teraz ich wreszcie dopadnę, gliniarze zaraz przyjadą. Całe szczęście, że akurat byli w Wujasicach.

Zapadła cisza, od czasu do czasu przerywana tylko dobiegającymi z szopy metalicznymi łupnięciami; przy każdym z nich Svan na chwilę wciągał głowę w ramiona, a potem zagryzał wargi z jeszcze większą złością.

Wreszcie usłyszałem od strony drogi zbliżający się odgłos silnika, potem trzask drzewiczek. Gliniarzy było dwóch, gruby z latarką i ten Wojtek, z którym Svan rozmawiał przez komórkę. Teraz już nie było powodu się ukrywać.

— No, Kuźma, mamy was, chuju! — oznajmił tubalnie gruby, kiedy stanęliśmy przed drzwiami. — Wyłaźcie stamtąd zaraz, zanim wam dupę urwę! Szybko, władza do was mówi, chuju!

Kuźma jednakowoż polecenie władzy zignorował, więc gliniarze zniknęli w szopie. Rozległo się głucho plaśnięcie, urwany krzyk i po chwili stróża prawa wywlekli dwóch chudych, wyniszczonych facetów o mordach ostatnich degeneratów, co zresztą akurat w okolicach Wujasic trudno było uznać za cechę dystynktywną. Svan zaklął, zamachnął się prętem i z rozmachem przylał nim każdemu ze złodziei po parę razy po łapach i plecach.

Jeden, bardziej kudłaty, zwałił się na ziemię i skamlał: „no co, kurwa, no przestań”, drugi zdobył się na tyle godności, żeby tylko jęczeć. Zostało to nagrodzone, bo nie dostał jak kudłaty kopa w nery od chudego gliniarza.

Cofnąłem się w cień, powtarzając sobie, że każda okolica ma swoje lokalne obyczaje. Svan tymczasem wysapał się, przyłożył kudłatemu jeszcze parę razy, a potem oddał swój pręt grubasowi. Podziękował policjantom, pogrzebał w kieszeni i wcisnął coś każdemu do ręki, uzyskując zapewnienie, że gnoje co najmniej przez parę tygodni nie będą w stanie go niepokoić.

— Chodź — powiedział do mnie, wskazując drogę na skróty, przez pasiekę. Obejrzałem się przez ramię. Gliniarze przykuli złodziei kajdankami za ręce do wysokiej gałęzi, a potem zaczęli ich metodycznie okładać metalowym prętem i pałkami. Żeby dobrze tę scenę oddać, muszę napisać wręcz, że zaczęli ich napierdalać, i to jak na amerykańskim filmie o chińskiej mafii. Wrzaski i charkoty niosły się szeroko, goniły nas odbite od ściany lasu.

— No a co im, kurwa, innego można zrobić? — zirytował się Svan, widząc moją minę. — Wytoczę im proces o odszkodowanie? Gdzie ty facet, kurde, żyjesz?

Odetchnął uspokojony, poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

— Dziękuję tak w ogóle. A masz gdzie przenocować? Później tego samego wieczoru, kiedy napoczęliśmy kupioną w Wujasicach butelkę, odważyłem się znowu zapytać go o Waldiego.

— Naprawdę nie wiesz? No to ja ci nie powiem, o co w tym tak naprawdę chodzi. Ja ci to — zawiesił głos — pokażę. Jutro rano.

* * *

Następnego dnia rano poszliśmy na miodobranie. Svan pożyczył mi biały, przyduży kombinezon i hełm z siatką, sam wziął dymiarzkę i otwierał jeden po drugim ule, przypominające poustawiane na sobie pudła albo biurowe szafy na kartoteki. Od czasu do czasu pytał:

— Widzisz? Widzisz, co robię? Odpowiadałem: „wyjmujesz plastry miodu” albo: „dmuchasz do ula dymem”, albo jeszcze co innego, ale po tym pytaniu, najwyraźniej retorycznym, nie podejmował tematu. Na razie rozmawialiśmy głównie o porachunkach z miejscowymi.

— Zaczęło się przez moją kobietę, ale trudno mieć pretensje. Sam też z początku nie wiedziałem, jak z tymi ludźmi trzeba rozmawiać. Została nam, rozumiesz, farba. Na nic się nie przyda, to po co wylewać, dała im ją, mówi, odmalujcie sobie te swoje zapluskwione baraki, przecież nie można w takich warunkach żyć, jeszcze z dziećmi. Wzięli, odmalowali i przyszli po pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Po dniówki. Pomalowali, tak jak im kazała, więc im się należą dniówki. Do dziś są obrażeni, żeśmy ich tak oszukali i nie zapłacili. Ale w sumie jak nie to, to by było co innego. Dla nich to krzyżująca niesprawiedliwość, że mamy kasę i nie chcemy im dać. Jak byłem artystą, też wierzyłem w jakieś tam, rozumiesz, który skrzywdziłeś człowieka prostego w piwnicznej izbie i inne takie pierdoły. Wszystko gówno, chłopie. Wrażliwi społecznie, zaangażowani artyści współczujący ubogim to kawiarniane pajace. W życiu nie widzieli prawdziwej biedoty. A ja się z tą hołotą muszę użerać na co dzień.

— No ale roboty dla nich nie ma, co fakt, to fakt.

— Człowieku, oni pierdolą robotę! Nie kalkuluje im się. Zobacz, ile tu ziemi leży odłogiem, posadziłby sobie jeden z drugim chociaż pieprzonego pomidora, kartofle, cokolwiek, na własne potrzeby albo żeby dzieciaki nakarmić witaminami. Nie chce im się. Na alpagę im nigdy nie zabraknie, a żyją jak bydło od zawsze i lepiej wcale nie potrzebują. Wszystko zdrowe byki, a co drugi bierze rentę inwalidzką. Plus jeszcze emerytura babci i jakoś wystarczy, mowy nie ma o żadnej pracy. Praca to dla frajerów i Murzynów, tylko picie to jest życie.

Przypomniał mi się wczorajszy dialog z mechanikiem.

— I sam widzisz. Ale nie martw się, naprawi. Pogadamy z jego starą, weźmie gnoja za dupę, tylko pamiętaj, jemu ani grosza do ręki. Tu w ogóle wszystko trzeba załatwiać z babami.

— Wiesz, Svan — powiedziałem wreszcie, kiedy już wygadał się na ten temat. — To może pogadajmy teraz o Waldim? Miałeś mi coś pokazać.

— A nie widzisz, co od rana robię?

— Widzę, ale widocznie nie dostrzegam, Holmesie. Bądź łaskaw mnie oświecić.

— Zrobimy jeszcze ten rząddek, do szopy, opowiem ci wszystko przy obiedzie. A wiesz co? Pokażesz mi najpierw te swoje wiersze.

* * *

Dałem mu taki kawałek:

kwaśny świt gorzkie piwo druga klasa
ekspres czwarta dwadzieścia z Częstochowy Stradom
jeszcze przegadana noc na peron w ostatniej chwili
znów od rana na smutno
prawie pusty wagon
więc kołysanie piwo bo za późno zasnąć
i budzić się za wcześnie pieką oczy
prawie umiałem ich przekonać
że się prawica jednoczy
ludzie jak ludzie z trudem już w coś wierzą
przynajmniej przyszli paru chciało się zaklaskać
tylko słowa tak zmieniły smak
ja Polska Polska komuna oni wczasy zakład
trzy pięćset trzy pięćset kto z tego wyżyje
piwo druga klasa ekspres czwarta dwadzieścia
piję na smutno
piję

— Świetnie — odetchnął Svan i uradowany oddał mi kartkę. — Masz, chłopie, szczęście. Całkowicie bezwartościowe. Pisz do gazet i bądź spokojny, Waldi ci talentu nie ukradnie, bo nie ma czego.

Wyobraźcie sobie, wcale nie kopnąłem go w dupę; ale Bóg jeden wie, ile mnie kosztowało, żeby się od tego powstrzymać. Odczekałem chwilę i nasilając całą wolę, aby w moim głosie nie zabrzmiała uraza, zapytałem:

— Więc Waldi kradnie talenty?

— Skupuje je. Błąd: złe słowo. On je wykupuje. Rozumiesz? Wykupuje. Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś, co się w tych podłych czasach dzieje ze sztuką, z literaturą? W księgarniach panoszy się wylansowana przez telewizję cienizna jakichś chałturników bez krzty talentu i wyobraźni, w galeriach kompletne idiotyzmy, jedna pani wsadza sobie Barbie do cipy, druga przygniata lalkę papieża kamieniem i tak dalej... Co, zniknęli z ziemi utalentowani ludzie? W poprzednich epokach byli, a w tej szlus? A tymczasem, rozumiesz, po prostu ich wykupiono, cichcem, pojedynczo...

— Waldi?

— Waldi to tylko jeden mały żuczek. Drobny przedstawiciel handlowy w prowincjonalnym kraiku. Jeśli się nie sprawdzi albo coś zawali, przyślą innego. Bóg jeden raczy wiedzieć ilu ich jest i jak są zorganizowani... No, zrozumiałeś wreszcie, co ci chciałem od rana pokazać? Co robiłem?

Uśmiechnąłem się niepewnie.

— Zbierałeś miód?

— Zabierałem. Zabierałem miód pszczołom. Tak, to ci chciałem pokazać. Zabrałem im wszystko, a teraz oskrobiemy plastry z wosku, wsadzimy do miodarki, o, tam, widzisz ten bęben, zakręcimy i sobie ten cały miód wyciśniemy z węży, i go sobie weźmiemy. A pszczołom w zamian zostawiłem cukier. Bezwartościową słodycz. Ale głupie pszczoły nie rozumieją, że coś straciły. Ba, cukier jest dla nich lepszy. Słodszy. Wolą go. Pewnie nie protestowałyby wcale przeciwko tej wymianie, nawet gdyby wiedziały, co robię. Trawiłem jego słowa w milczeniu.

— Odezwałeś się do Waldiego tak, jakbyś wiedział, że jest kosmitą, przynajmniej tak to odebrał...

— Tak palnąłem... W życiu bym przecież na poważnie...

— A on uznał, że musiałeś rozmawiać ze mną, bo ja jestem jedynym człowiekiem, który się domyślił prawdy i powiedział mu to wprost. A wiesz, jak się domyśliłem? Właśnie wtedy, jak założyłem tu sobie pasiekę. Łaziłem tak od ula do ula, wybierałem plastry, sypałem cukier i nagle — ścisnął kieliszek, aż pobielaty mu kostki palców — nagle do mnie dotarło, w co ja się kurwa wdałem! Kupiłem sobie gównianą sławę, możliwość pieprzenia głupot do milionów cymbałów, a co za to oddałem? Dar, kurwa... Dar, który miałem! Miałem...

Głos zadrżał mu na granicy załamania, w oczach zalśniły łzy i nagle, w jednej chwili, uświadomiłem sobie, że w tych oczach jarzy się najprawdziwsza, głęboka rozpacz. Coś mnie ścisnęło za gardło. Ale trwało to tylko chwilę, opanował się, wypił, nalał sobie i wypił jeszcze raz.

— No, trudno mieć o cokolwiek pretensje. Sam się wreszcie chciałem odbić, zacząć coś znaczyć... Zresztą, ja też nie uważam, żebym krzywdził swoje pszczoły. Oczywiście nie kojarzyłem, na czym układ polega, nikt tego do końca nie rozumie, myślisz sobie, że za jakiś czas wrócisz do „poważnej” twórczości. Ale nie, chłopie. Wszystko znika. Nie umiesz napisać ani słowa, pustka w głowie. Natchnienie, czy jakkolwiek to zwać, kończy się jak nożem uciął, jakimś sposobem wyjmują ci wszystko z głowy i zabierają. Za to łeb zaczyna ci nagle pękać od pomysłów na chodliwe rzeczy, takie, które na pewno zrobią furorę u publiki. Tylko brać i wykorzystywać. Pełna kasa, ludziska będą zachwyceni. Rozumiesz? Znaleźli sobie w nas pszczoły. Zabierają to jedyne, co my, ludzie, potrafimy stworzyć wartościowego, a w zamian karmią nas telewizyjną pseudokulturą, big-braderami i innym szajsem. A my jesteśmy zachwyceni, takie to słodkie...

* * *

Co do tego mechanika, Józiuka, Svan miał oczywiście rację; pogoniony przez żonę naprawił szerszenia w godzinę, a potem mędził straszliwie, żeby mu dać choć parę groszy, tylko tak, żeby żona nie wiedziała. Słońce było jeszcze dość wysoko, kiedy pożegnawszy się ze Swarowskim i jego kobietą, ruszyłem po wybojach do głównej drogi, a potem do Warszawy.

Myślałem o tym, co mówił Swarowski i dlaczego uważano go za świra. Myślałem z jakąś godzinę, może półtorej. W końcu ten przygnębiający nastrój, w jaki zdołał mnie wprowadzić, minął. Silnik dudnił miarowo, droga przewijała się pod kołami...

Pierwszym niepokojącym objawem było, kiedy uświadomiłem sobie, że od jakiegoś czasu nucę pod nosem melodyjkę spod sklepu w Wujasicach. „Dziewczyno, dziewczyno, dziewczyno, dlaczego jesteś taka...” Zaśmiałem się i otrząsałem głośno. Zresztą, kiedy sobie przypominałem Kukiego podrygującego dokoła Matyldy, przestawała mnie ta piosenka aż tak bardzo odrzucać.

Kuki — Matylda — Międzyzdroje — bankiet... Wróciłem myślą do dziewczyny ze śmiejącymi się oczami. Mogłem przecież zapytać Svana, czy ją pamięta z telewizji, czy wie,

jak się nazywa i gdzie jej szukać... Nieważne. Zagadam w „Wiwacie” i innych kolorowych pismach. Na pewno ją znajdę.

A potem, jak to za kierownicą — zawsze się podczas jazdy najlepiej myśli — przypomniało mi się, że miałem świetny pomysł na wiersz dla niej. Wiersz... Pamiętałem, że miało się to nazywać „Rzeźbiarz” i mówić o tym, jak chciałbym, to znaczy jak podmiot liryczny chciałby dotykać jej ciała, tak, jakby tym dotykiem je stwarzał... Wrywał z nicości? Nie, nie tak topornie... Odbierał nieistnieniu? O, ten zwrot... Miałem już przecież w głowie jakieś strzępy, słowa, główne asonanse — ale nic, zupełnie nic nie mogłem sobie przypomnieć...

Za to nagle przyszedł mi świetny pomysł na rozwinięcie starego opowiadania fantazy w powieść. W pierwszej wersji nie trafiłem ze scenerią, to powinno się dziać, uświadomiłem sobie, nie w żadnej puszczy, tylko w nadmorskiej krainie; jej władca przed laty uwolnił i zaślubił księżniczkę uwięzioną przez czarnoksiężnika z północnych wysp, a teraz, gdy ich miłość dawno zwiertzała, musi stawić czoła nieuchronnej zemście krewniaków zabitego maga. Można nieźle nakręcić z fabułą, wpleść sporo łomotaniny na miecze i włócznie... A główny bohater nie powinien być zwykłym włóczęgą wędrującym po fantastycznych krainach bez celu, tylko zawodowym najemnikiem. Oczywiście! Kiedy powieść się sprzeda, będzie można o takim wędrownym najemniku walić tom za tomem...

Ale przecież nie o tym chciałem myśleć. Spróbowałem wrócić do mojego wiersza. Jakoś mi nie szło. Nikt jeszcze, uświadomiłem sobie, nie zrobił sitkomu o dresiarzach, a przecież to świetny pomysł. „Rodzina Dresów”, banda łysoli — nieudaczników, którzy ciągle coś knocą i dostają po uszach. Miliony zastraszonych mieszcuchów, bojących się wyjść po zmroku na ulicę, tylko czeka na to, żeby ktoś wreszcie zrobił z ich prześladowców pośmiewisko, oglądalność będzie jak...

Nie. Nie. Nie chciałem o tym myśleć. Miałem napisać wiersz. Miałem go przecież na końcu języka, już prawie dojrzały, prawie gotowy... Nic sobie nie mogłem przypomnieć. Mój Boże, to na pewno z niewyspania. Ta impreza, potem wizyta u Svana, tyle wrażeń... Tak, prześpię się, odpocznę i zaraz sobie przypomnę. Na pewno sobie przypomnę...